Rozmaitości

Dnia 23. Października Ner. 43. Roku 1841.

JUNDZA.*)

(Ciąg dalszy.)

Lato na Wołoszczyźnie nadzwyczajnie parne. Od dziewiątej z-rana do siódmej w wieczór zamykają się okiennice, i mieszkańcy rozwalając się po szérokich dywanach, chłodzą się szerbetem z zimną wodą, palą lulki i marzą o miłości. W rzeczy samej gorące dni letnie tylko dla *Keifa* (próżniaka) przydatne; fizyczna i moralna działalność stanowczo niepodobna. A ponieważ położenie miejscowe i klimat tworzą charakter narodowy, bynajmniej dziwić się nie należy, że Wołosi więcéj usposobieni do rozkoszy niżeli do trudów; że pod jaworem, kasztanem lub brzoskwinią krew u nich daleko ogniściéj obiega, niżeli u nas pod jodłowemi szyszkami; że oni są od nas daleko leniwszymi i lubieżniejszymi, i że w skutek tego ostatniego rysu charakterystycznego, czystość obyczajów jest dla nich rzeczą niepojętą. Dziewczęta dojrzewają tam jak rośliny w śklarni, jedna iskierka — i już płomień wybucha. W trzynastym lub czternastym roku *Kukonica* idzie za mąż, pokochawszy się cokolwiek, staje się w piętnastym matką, rozwodzi się w siedmnastym, i odtąd żyje już jak się jéj podoba. Niedostatek moralnego wykształcenia, klimat, chęć zysku, obojętność rodziców o los dzieci, obojętność mężów o małżeńską wierność, to są przyczyny, że większa część, a ledwie nie można powiedzieć, wszystkie kobiety w Bukarescie, żyją w rozwodzie. Taki stan rzeczy, nie sprawia tam najmniejszego wrażenia. W tygodniu można się i ożenić i rozwieść. Ale za to proszę popatrzyć na *Kukonę* gdy ma lat trzydzieści: choćby w młodości była jak anioł piękna, choćby się jak zbytkownie i wykwintnie ustroiła, gwałtowne namiętności piętnują okropnie piękne niegdyś lice; w oczach przesycenie bachantki, wszystko przeżyte, wszystko przepalone, w trzydziestym roku ona ruiną, a przecież jeszcze w niéj zapalczywe pragnienie życia i miłości. — Dziewczyna, która umié po grecku i francuzku, a przytém tańczy, tém samém już wybornie wychowana. Niektóre idą za mąż umiejąc tylko jeden grecki językí, którym po największéj części Bojarowie rozmawiają. Życie *Kukony* zaczyna się o ósméj godzinie wieczór, w dzień ona nie żyje. W dzień zajmuje się tylko cokolwiek swą domową gotowalnią, pije kawę i *dulczeny*, ugłaskuje brwi, Arnauty latają z bilecikami, ona odpisuje na nie, łaje Cyganki, liczy się z swym rządcą domu, niekiedy jedzie do sklepów, lecz najczęściéj siedzi w domu, słucha plotek swoich znajomych i oczekuje wieczora. Jadają licho, po największéj części samę baraninę. Po obiedzie śpią, a wstawszy, stroją się na przechadzkę. *Kukona* żyje jedynie na *Plymbarze; Plymbar* jéj przeznaczenie, marzenie, sława. Tu ona rozwija okazałość powozu, zbytek toalety, wdzięki i powaby piękności. Jeżeli możesz zakochać się w *Kukonie,* to jedynie na *Plymbarze,* inaczéj wcale nie. — Spacery trwają do jedenastéj godziny, a czasem względnie na pogodę i dłużéj. Mężczyźni zasiadują do gry, nie o drobne pieniądze, lecz o szczére złoto, a *Kukony*?...

*) Zamiast: Jundza, czytaj: Tundza.

Niektóre powracają do domu, inne jadą do Cukierni na *Podu Moguszu* chłodzić się lodami, inne zaś nie mogą się rozstać z czarami zachwycającej księżycem oświetlonéj nocy. W tajemniczym zmroku, orzeźwionym nocném powietrzem, długo, długo słyszéć można turkot pojazdów z podniesionym wiérzchem, zostawionych własnéj woli woźnicy...

Na progu ogromnéj, w pół-ciemnéj sali, która pospolicie zajmuje środek domów bukarestskich i stanowi jedyne tylko schronienie w dni gorące, siedziała Cyganka, smutno oparłszy się na łokciu prawéj ręki. Szorstkie czarne włosy, nie oswojone z grzebieniem, drobnemi pierścieniami wiły się w nieładzie po jéj głowie, twarz chuda ciemnooliwkową bladością pokryta, rysy ostre, kibić prosta, lecz bez żadnéj przynęty. Nie zwróciłbyś żadnéj uwagi na ten dziki twór przyrody, na ten burzan, na ten kolący oset. Duże jéj czarne oczy bez myśli, bez czucia, zwrócone na ścianę, na któréj malarz namazał Ikara z topiącemi się skrzydłami w chwili, gdy chciał dosięgnąć słońca. Nie pojmuje ona głębokiéj prawdy, którą zawiéra w sobie ten obraz, niezgrabnie narysowany. Od dzieciństwa przyzwyczaiła się patrzéć na niego, jak na gołą ścianę.

Ale oto obróciła się. Słyszysz jakiś dziwny brzęk, jestto brzęk łańcucha, którym okuta. Taki zwyczaj na Wołoszczyźnie: Bojar ma prawo każdego czasu zakuć swych Cyganów, którzy pomimo tego odbywają zwyczajną służbę, brzęcząc kajdanami po całym domu.

Podniosła ręce. Patrz, jak jéj do twarzy w tych drobnych żelaznych pierścieniach. Żaden naszyjnik najkosztowniejszy nie może z niémi się równać.

Dźwięk łańcucha obudził życie w Cygance. Z pod ciemnéj powłoki trysnął purpurowy rumieniec, lice ożywiło się namiętnością, koralowe usta odkryły rzęd dziwnych pereł, czarne oczy błysnęły strasznym niepojętym ogniem i zaśpiéwała:

Arde ma fridži ma
Pi karbuni puni ma
De may puni karbuni
Amurezu nu cy spuni

(Pal mię, piecz mię
Połóż mię i na węgle;
Lecz gdy mię i na węgle położysz,
Nie wydam ci kochanka.)

Patrz! czy to ta Cyganka? — Ona zaśpiéwała o miłości! — Drzwi się otworzyły. Młoda dziéwczynka w białéj sukience, w błękitnéj, aksamitnéj sobolami obłożonéj kacawajce, którą tylko lekko na plecy zarzuciła, weszła do sali, i oglądnąwszy się zbliżyła się do Cyganki. Dziéwczynka dopiéro rozkwitała, w siwych jéj oczach dziecinna jaśniała radość, jedwabne, jasno-płowe kędziory malowniczo zwijały się po jéj lilijowych ramionach. Tak była miłą, że trudno było odwrócić od niéj oczu. Ileż ciekawości, ileż prostoty i zaufania malowało się w jéj młodocianém licu, uroczém, powabném i zachwycającéj białości. Czysta była i pogodna jak ziemia w piérwszy dzień swego stworzenia, i jak jenijusz niebiański stanęła przed duchem ciemności.

»Biédna Stesi!« rzekła ona spoglądając na Cygankę. »Znowu cię zakuto w te ciężkie łańcuchy. Za cóż rozgniewał się na ciebie mój ojciec?«

Tknięta litością swéj pani, płakała Cyganka i całowała jéj rękę.

»Przecież ty nic nie ukradłaś, nie leniłaś się, nie chciałaś od nas uciekać?«

Cyganka kiwała głową.

»Cożeś zawiniła?«

»Bojar nie każe mi kochać, a możnaż żyć bez kochania? Cyganka może żyć bez słońca, bez wody, bez chleba, ale bez kochania — nigdy!«

Brzęknęła łańcuchami i zaśpiéwała:

De may bati kyt de mułt
Tot may facze kiem fykut.

(Chociażbyś mnie bił ile chcesz,
Zawsze tak będę robiła jak dawniéj.)

»To ty mocno kochasz twojego Cygana?«

Stesi milcząc złożyła ręce na piersi, przycisnęła niższą wargę zębami i podniosła oczy. Na twarzy jéj malowała się najgwałtowniejsza namiętność.

»A on?«

»Czyli on mnie kocha? moje serce, mój świat, moja pociecha? On żyć nie może bez Stesi!«

»Więc to jest przyjemnością kochać?«

»Czy jest przyjemnością? A cóż może być przyjemniejszego w świecie? Zważcie *Kukonica* Anika, w całym świecie nié masz nieszczęśliwszego narodu, jak nasz: skazani nosić łachmany, wypełniać najcięższą

pracę, po ziarnku piasku zbiéramy złoto i wam oddajemy, czérstwym tylko chlebem i wodą żywimy się, lżą nas i pogardzają nami jak wyrzutkami, my nie widzimy naszych dzieci, nie pieścimy ich, nie rozporządzamy niémi, dla nas nié masz nic na świecie, ani dziś ani jutra. Za to my kochamy się jak nikt inny! — Gdy serce Cyganki rozpali się słodką namiętnością, gdy ją młody i piękny kochanek do drzącéj piersi przyciśnie i z rozkoszą patrząc w oczy wyrzeknie: *Te jubesk eu* natenczas *czi dulcze! czi formos!* — Natenczas te łachmany zamieniają nam się w złoto-lite bisiory, brudna chata w książęce podwoje, a oczy kochanka błyszczą taką rozkoszą, taką czarującą pieszczotą, taką zupełną, upajającą, nieskończoną szczęśliwością, że nié masz nikogo pod słońcem szczęśliwszego nad Cygankę.—«

Twarz *Kukonicy* rozpłomieniła się, z radością słuchała Cyganki.

»Nasze odwidziny rzadko się wydarzają«, prawiła daléj Cyganka; »przeszkadzają nam kochać się. Ale i to nic nie znaczy, byle tylko kochanek był wiernym! — Cały rok zbiérałam złoty piasek, i ani razu nie widziałam Aleka; lato było znojne, praca ciężka, a mnie przecież nie było przykro. Jeżelim się mocno utrudziła, jeżeli sił zabrakło, usiadłam na brzegu, zasłoniłam oczy, i przypomniałam sobie lubego kochanka, jego głos, jego pieszczoty; natychmiast stałam się świeżą, wesołą, dźwigałam muł z rzéki, i śpiéwałam radośnie!«

»Dawnożeś się widziała z swoim Alekim?«

»Czy dawno? Nie, niedawno, wczora...«

Głos Cyganki zmienił się i poczęła płakać.

»Jak długo i jak niecierpliwie czekałam wczorajszego wieczora. — Nakoniec przyszedł tyle upragniony kochanek.«

Twarz Cyganki w mgnieniu oka rozjaśniła się. Oboma rękami ujęła rękę Aniki.

»Nakoniec nadszedł ten wieczór tak jasny, tak cichy i miły, jakiego jak żyję nie pamiętam. Wszyscy pokładli się spać i ja udałam się na górę, gdzie moje łoże. Cichutko otworzyłam okno i długo, długo w nie poglądałam. Wszędzie było cicho. Nareszcie mignęła cień; byłto Aleko, mój najdroższy Aleko. Lękałam się, żeby serce moje nie obudziło całego domu, tak silnie biło mi w piersiach. On bieżał spieszno i bojaźliwie, za każdym krokiem oglądał się, aż nareszcie stanął pod mojém oknem: Aleko *psichi mu!* — Stesi — Aleko! *Suffletu meu!* — Ja rzucam sznur z okna, Aleko chwyta go, wspina się lekko i rączo. Ja z całéj siły ciągnę sznur, podnoszę mój najdroższy skarb, ręka kochanka już mnie obejmuje, oddech jego już mnie ogniem ozionął, cała drżę, jeszcze jedna, jedna tylko chwila, i on byłby w mém objęciu. — »*Czi may facz Stesi?*« odezwał się głos za mojémi plecami. — Byłto głos twego ojca *Kukonico*. Spojrzenie jego było straszne, w ręku gruba nahajka. Z przestrachu upuściłam postronek, Aleko leżał na ziemi i jęczał, a na mnie wylał się strumień chłosty. Spokojnie i nieruchomo stałam przy oknie, dopóki nie wstał mój luby i chromiąc nie skrył się przed oczami. Gdy Bojar przestał bić, rozkazał mnie wsadzić do piwnicy i zakuć w łańcuchy.«

Klaśnięcie w dłoń, zwyczajny znak wzywania służących, dało się słyszéć w pokoju. *Kukonica* i Stesi rozeszły się.

* * *

Onego roku, gdy Aleksander Suzzo powtórnie obrany był Hospodarem wołoskim, piastował Nikolaki Barbuczyki w księztwie urząd wielkiego *Czausza*, miał pod swémi rozkazami czterdziestu *lefedżiow*, straże po dzielnicach miasta, odprawiał sądy w drobnych sprawach i osadzał w kozie. Z zmianą panującego osiągają po największéj części nowe osoby urzędy państwa. Suzzo mianował wielkim *Spatarem* swojego synowca, człowieka nader łakomego. Nowy Spatar podniósł natychmiast cenę na podległe swéj władzy urzędy, które corocznie od niego za pewną kwotę kupować było potrzeba; między innémi i od wielkiego Czausza zamiast jak dawniéj dwa tysiące, wymagał trzy tysiące *lewów*. Barbuczyki uparł się, a urząd jego pochwyciła inna głodna pijawka, w téj zupełnéj nadziei, że podwyższone tysiące *lewów* wynagrodzi sobie z należytym procentem, z podwładnych sobie biédaków.

Urażony łakomstwem i niesprawiedliwością Spatara wielki Czausz, oddalił się w małą Wołoszczyznę i osiadł we włości swojéj w pobliżu krajowéj. Kilka lat rozmnażał on i skupował bydło rogate, pędził do Siedmiogrodu, i przysporzył znaczny majątek. Gdy Anice, jedynéj córce jego, skończyło się lat trzynaście, przeniósł się do Bukarestu, nie zaniedbując wszelakoż zyskownego handlu, który szczególniéj szczęścił się od chwili, gdy przyjął za zarządcę młodego Greka Kostaki. — Wybornie on wypasał woły i po kilka razy do roku wyprawiał się z niémi za granicę. Staruszek Barbuczyki liczył dukaty, cieszył się swą Aniką, a diabeł żądzy sławy nie kusił go już zamiarem występowania na scenę życia politycznego.

Blondynkom, które pragną zrobić znaczną partyję, radzę natychmiast jechać do Bukarestu. Nie doścignąą jeszcze rogatki, to już za rogatką, a nawet na ostatniéj stacyi, upadną im do nóg wielkie Worniki, Logofety, Spatary, Wistiary, Hetmany, Postelniki, słowem cała wołoska arystokracyja. Blondynka jest tam taką rz[illegible]cią, jak w Petersbur[illegible]sorożec, Taglioni, i truppa Bartolettego.

Blondynka i piękność, jedynaczka u ojca i dziedziczka całego jego bogactwa, kogoż nie złu[illegible]e ponęt! W krótkim czasie Anika stała się przedmiotem publicznych rozmów, zaczęli o niéj marzyć, szukać sposobności widzenia się z nią, pochlebiać byłemu Czauszowi; ale Barbuczyki nie w ciemię bity, nigdzie nie pokazywał się z córką, ściśle ją zamknął w swym domu, i dziecku Anice ani w głowie nie powstało, że cały Bukarest nią zajęty, że całe ulicy o niéj rozprawiają, że *Kukony,* chociaż jéj nigdy nie widziały, bez najmniejszego względu ją obmawiają i jéj złorzeczą.

Jeden tylko Bojar odwidzał często Barbuczyka, byłto wielki Wornik *de Kutii*, kurator kasy dla wsparcia zubożałych rodzin, w niedostatku będących Bojarów i podupadłych cudzoziemców. Barbuczyka przyjmował gościa z szczególniejszém uszanowaniem, odprowadzał go aż do progu, i sam mu kawę i lulkę podawał.

Chociaż godność wielkiego Wornika *de Kutii* liczyła się do piérwszego rzędu, co dowodzi zapuszczona długa broda i prawo zasiadania w dywanie w obecności Hospodara; wszelakoż dochody jego były bardzo ograniczone, pobiérał on na rok tylko po sześć tysięcy *lewów*, a oprócz tego nie miał żadnych pobocznych przychodów; wyjąwszy jedynie, gdy kto umrze nie mając spadkobierców, majątek zabiéra się na korzyść *Kutii.* Jeżeli późniéj zjawią się dziedzice, powracają im majątek, a z niego Wornik dla siebie zatrzymuje tylko część dziesiątą. — Jak na nieszczęście dla Wornika, domyślni Wołosi umiérali albo nic zostawiwszy żadnego majątku, lub też razem z nim mnóstwo zostawiali krewnych. I tym sposobem w oczekiwaniu tego dochodu przetrawił on cały swój majątek. Wypadało koniecznie polepszyć byt swój, chociażby naprzykład korzystném ożenieniem, które już go po dwakroć wyrywało z podobnego nieprzyjemnego położenia. — Jużto wprawdzie broda wielkiego Wornika *de Kutii* pobielała jak len, wszelako byłato zawsze broda, jaką tylko siedmnastu najwyższych dygnitarzy w księztwie nosić ma prawo. Którąż *Kukona* nie pragnęłaby zostać żoną wielkiego Wornika! —

Wielki Wornik zaszczycał się względami Hospodara, i miał znaczne związki między najpiérwszymi Bojarami. Nic go nie kosztowało wynieść kogobądź na urząd *Kluczara de Arii,* a nawet na wielkiego *Armasza,* zaś u Barbuczyka mało co znaczyło wydać za niego córkę i dać jéj w posagu kilkanaście kies złota. Arystokracyja urodzenia i znakomitości, bardzo często i nader dogodnie łączy się z arystokracyją bogactwa.

Wiele wieczorów strawił wielki Wornik z Barbuczykiem. Przyjazne i czułe były ich rozmowy. Obaj oni byli doświadczeni, rozumni i przemyślni mężowie, i zawiérali przyjaźń z należytém wyrachowaniem, które i jeden i drugi doskonale pojmował. Gdy magnat rozprawiał o swojém znaczeniu, znakomitości dostojeństwa, powadze i prerogatywach życia swego, słuchał go Barbuczyki z udziałem i upodobaniem. Na ówczas wielki Wornik zaczynał schlebiać rozdraźnionéj dumie jego, przyrzekał wyjednać mu u Hospodara z początku jaki urząd trzeciéj klasy, potém drugiéj, a gdy pełen słodkich nadziei Barbuczyki, ze łzami w oczach ściskał rękę dostojnego protektora, wielki Wornik, by uzupełnić wrażenie, pokazywał mu za rok lub dwa w perspektywie — brodę z dostojnością wielkiego *Kluczara.* W skutku częstych podobnych rozmów skłonił się Barbuczyki wydać Anikę za wielkiego Wornika *de Kutii,* i zaczął zgromadzać pieniądze, pragnąc wystąpić z największą okazałością podczas téj uroczystości, która wszelako do niejakiego czasu miała jeszcze tajemnicą pozostać.

* * *

»A cóż Stesi? jak się ma Kostaki? lepiéj mu teraz?« pytała Anika, oczekując niecierpliwie odpowiedzi.

Cyganka smutnie kiwała głową.

»Byłże doktor u niego, dająż mu lekarstwa?«

»Co mu po lékarstwach? Doktor nie wyléczy jego choroby.«

»Biédny Kostaki! Cóż mu to się stało?«

»Serce w nim goreje, cały przejęty ogniem, oczy mu zapadły, twarz się przeciągła, plęcie bezrozumnie.«

Anika ciężko westchnęła.

»Nie chorowałby on, gdyby was *Kukonico* nie był zobaczył, on tylko o was mówi i marzy.«

»I cóż się z nim stanie?«

»On umr...«

Anika zatkała jéj usta i nie dała dokończyć. Łzy jak groch potoczyły się z ócz jéj.

»Jeżeli ty rozkażesz, on będzie żył. Tylko ty jedna, tylko ty sama, możesz go ocalić.«

Anika rzuciła się na szyję Cyganki.

»Ja? ja mogę ocalić życie Kostakiego? Spiesz do niego — proś, zaklinaj go Stesi, niech żyje, niech żyje koniecznie! Powiédz mu, że ja bym nie zniosła smutku, jeźliby on.... nie śmiém nawet pomyślić! — Nie, on będzie żył! — Nieprawdaż Stesi? —«

* * *

Wieść o nastąpić mającém ożenieniu się wielkiego Wornika *de Kutii* z córką Barbuczyka rozniosła się po Bukareście. Nie było mężczyzny, któryby nie zazdrościł wielkiemu Wornikowi, nie było kobiéty, którаby nie zazdrościła Anice. Jéj tylko samej ciemno się zrobiło w oczach, gdy jéj ojciec tę wiadomość zwiastował.

Gęsty kurz unosił się po nad *Podu-Moguszą*. Długi széreg wiedeńskich pojazdów toczył się do *Cherestreo*. Bojarzy poważnie siedzieli w szarych *Kuczałach; Kukony* wdzięcznie uśmiéchały się do jezdców, którzy z nadzwyczajną zręcznością snuli się około powozów. Wesoła pogadanka, krzyki i śmiéchy głuszyły turkot pojazdów, pogoda była prześliczna i rokowała przyjemną przejazdkę.

W gęstéj altanie w ogrodzie pod spaniałym cienistym jaworem siedziała Anika smutna, posępna. W kilku miesiącach przeżyła wieczność... Poznała się z miłością. Na licu jéj nie pozostała ani dziecinna swawolność, ani spokojna wesołość, ciężkie dumanie odbijało się na niém. Ruch jéj był cichy i powolny, błękitne oczy albo pałały namiętnością, lub też spoglądały bez nadziei na świat boży. Oddech miała ciężki i przerywany.

O dwa kroki od niéj stał Kostaki w sinéj kacabajce, lisami podszytéj, w czerwonym *fesku* z długim błękitnym kutasem. Nie było nic szczególniej pięknego w powiérzchowności biédnego Greka, tylko oczy jego objawiały rozum, dobroć, śmiałość i moc charakteru. Jeżeliby Anika spotkała go była w towarzystwie, nie byłby zwrócił najmniejszéj na siebie uwagi; lecz on był piérwszy młody, dobry, ugrzeczniony mężczyzna, który z zachwycającym zapałem opanował jéj serce, właśnie w chwili, gdy toż miłości pragnęło. Anika jego tylko widywała, jego tylko mówiącego słyszała, a tak nie postrzegłszy się nawet, oddała się serdecznym pociągom miłości. Ssała jéj słodycz lub cierpienie, ubiégając się za spojrzeniem lub westchnieniem kochanka. Na ów czas nie umiała ona jeszcze rozważać, urodziła się bowiem na Wołoszczyźnie.

Nié masz pod słońcem pięknéj niewiasty, którаby cały świat ubóstwiał, i nié masz szkaradnéj, którаby nie znalazła dla siebie pary. Gust ludzki rozmaicie i mądrze uporządkowany! Nie bójcie się moi panowie! Dla każdego z was znajdzie się niewiasta z gorącą miłością w sercu; potrzeba tylko poszukać jéj w tłumie. Nié ma się co dziwić, że ów téj, a ta tamtemu się podoba. Ja wam to objaśnię bardzo łatwo, jeżeli mi piérwéj wytłumaczycie, dla czego błękitny kolor odpowiada żółtemu, a ponsowy zielonemu, i dla czego nié masz ani jednéj barwy, którаby nie zgadzała się z drugą?

Jeżeli uczciwość, rozum, bryczka z parą końmi i kilkaset czerwonych złotych nie stanowi bogactwa, to Kostaki był biédakiem. Nieznużony i czynny bezprzestannie przejeżdżał się po księztwie, kupował i sprzedawał rogate bydło, a nie troszcząc się o wielkie zyski, cieszył się swém wesołém różno-kształtném życiem. Najczęściéj gościł u Barbuczyka, pędził jego stada do Siedmiogrodu a wielki Czausz nie mógł się nachwalić jego zręczności w sprzedaży towaru, jego pośpiechu i rzetelności. Przyjmował i częstował go zawsze jak przyjemnego gościa, wystawiał go za przykład swoim domownikom, i wszyscy na to się zgadzali, że Kostaki rzadki człowiek, dla tego że był skromny, dobry i obdarzał wszystkie sługi dworskie.

Smutno i ze spuszczonémi oczyma stał on teraz przed piękną dziéwicą, jak grzesznik przed karzącym sądem, lękając się przerwać strwożoną i zamyśloną Anikę. Była to piérwsza ich rozmowa i widzenie się od tego czasu, jak broda wielkiego Wornika wdarła się w przybytek ich szczęścia.

»Kiedyż wyjéżdzasz Kostaki?«

»Dziś, natychmiast, prosto z tego ogrodu. Ojciec twój prosił mnie, ażebym sprzedał kilka stad wołów w Transylwanii: potrzebuje pieniędzy. Jadę zbiérać pieniądze dla żony wielkiego Wornika.«

Anika westchnęła głęboko.

»Mnie się jeszcze nie pytali, czy ja życzę sobie być jego żoną?«

»Co ich obchodzą twoje życzenia? — Wielki Wornik potrzebuje twego złota, a ojcu twemu chce się być wielkim *Kluczarem.* Albożto nie dosyć? A o twoim skarbie, o twojém dobrém i prześliczném sercu, nikt i nie pomyśli. Biédna Anika!«

»Kiedyż ty powrócisz?«

»Jabym miał powrócić? po co?—Żebym cię widział w objęciu starego lubieżnika? Nie! przenigdy!—Piérwéj niżeli będziesz małżonką Wornika *de Kutii,* przyniosą ci weselny podarek—garść ziemi z mojéj mogiły.—«

Przeraźliwy krzyk wyrwał się z piersi dziéwczyny.

»Życie lub śmierć!« rzekł Kostaki głosem mocnym i stanowczym, który przeraził Anikę... »Jedna chwila do rozwagi i wyroku.—«

Zalawszy się łzami i zakrywszy twarz rękoma, rzuciła się Anika w objęcie kochanka.

Straszne były ich przysięgi, szalona radość, bezrozumne zachwycenie!...

* * *

Cyganka Stesi z macierzyńską czułością przypatrywała się z-daleka rozkoszy uszczęśliwionych. Przyszła ona dać znać, że bryczka Kostakiego i ludzie czekają, lecz przejęta radością młodéj pary, lękała się przerwać ich pieszczot. Zatrzymała się i czarną swą żylastą ręką zléwała na nich błogosławicństwo. Przyciskając do piersi młodą Anikę, prosił Kostaki Cygankę, ażeby za dni dziesięć o godzinie czwartéj po południu, w chwili, gdy w Bukarescie głucha panuje cisza, przyszła z Aniką do jednéj *migały,* wychodzącéj nad rzékę Dymbowicę, gdzie on oczekiwać ich będzie z powozem, zabierze z sobą za Karpaty, i osiędzie z niémi na zawsze w swobodniejszéj Ziemi Siedmiogrodzkiéj.

(Dokończenie nastąpi.)

PIOSNKI
JANUAREGO POŹNIAKA.

1.

Tak spokojne twoje życie
Jak krynicy wody,
Piękne jako na błękicie
Gwiazda za pogody.

Toć namiętność nie zmąciła
Twojéj pięknéj duszy,
Co jak pączek się rozwiła,
Gdy go rosa sprószy.

Twoje serce lubi jeszcze
Drżącéj brzozy szumy,
I skowronka pieśni wieszcze
I poety dumy.

A jednak nie raz tęsknica
Oko twe osłoni,
I łza zrosi piękne lica
Jako kwiat jabłoni.

Wiészże jakie léki na to?
Pókiś w życia kwiecie,
Nim nadéjdzie skwarne lato,
Daj serce poecie.

2.

Tam przy stawie drży trzcina,
Gdy nią wiater powionie;
Nieraz ściskam jéj dłonie,
A nie zadrży dziéwczyna.

Jako czeka dżdżu kania,
Zwiędłe kwiecie wieczora;
Tak ja dzisiaj i wczora
Wzajemności kochania!

Pokochałem w jesieni,
Trzecia jesień już mija;
A dziéwczyna nie sprzyja,
Choć ją serce tak ceni.

Choć ma tego dowody,
Bo czy burza, czy słota,
Pędzi z domu tęsknota
Do jéj skromnéj zagrody!

Czasem rozum mnie skłoni
By tę miłość wyszydzić;
Serce weźmie się biédzić
I znów muszę iść do niéj.

3.

Stoi jawor nad rzéką
Smętno z wiatrem zagada,
Liść po liściu opada,
Płynie z wodą daleko.

Hej—jaworze, jaworze!
Czemu więdniesz tak młody?
Wszak maj hula po borze,
Szkoda twojéj urody!

»Pośród wiosny zaginę,
»Bo podmywa brzég woda;
»Wkrótce z rzéką popłynę,
»Oj! młodości méj szkoda.«

I ja młody usycham
Pośród życia zaranka,
Bo wciąż wzdycham i wzdycham,
A nieczuła kochanka.

Czarno-brewéj wzrok młodéj
Włada sercem do woli,
Ona kwitnie jak wprzódy,
A mnie serce dziś boli!

Zrywasz spokój dziéwczyno,
Jako kwiaty w ogrodzie,
Me godziny tak płyną,
Jak liść zwiędły po wodzie!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 42. i obejmuje: 1) Jeszcze słów kilka o siejbie. (Ciąg dalszy.) 2) Uprawa roli bez miérzwy. 3) Bronowanie łąk. 4) O urządzeniu gorzelni, ażeby i wódkę i cukier z buraków na niéj wyrabiać można. 4) Wiadomości czasowe.

Z Wilna: Pan Michał Grabowski wydawszy pod imieniem Edwarda Tarszy powieść w pięciu tomach: *Stanica Hulajpolska*, zajmuje się teraz przejrzeniem i ułożeniem dokumentów historycznych bogatego archiwum familii Prozorów, posiadającego naukowy skarb dawnych historycznych i dyplomatycznych papiérów. W zbiorze tym jest do tysiąca sztuk oryginalnych dokumentów. Najdawniejsze sięgają czasów Bony i Zygmunta Augusta.

Z Poznania. Gorliwy miłośnik i zbiéracz pamiątek krajowych Rajmund hr. Skorzewski z Czerniejewa, odbył tego lata podróż do Pragi, gdzie nabył (ogłaszany już w piśmie naszém) niedrukowany dotąd rękopism Kopernika: *O obrotach ciał niebieskich*, będący własnością biblijoteki hrabiów Nosticów. Szanowny mąż ten w swej znakomitéj biblijotece czerniejewskiéj, gromadzi materyjały do historyi dyplomacyi w Polsce. Pomnik, który, jak wiadomo, stawia zasłużonemu gramatykowi naszemu Onufremu Kopczyńskiemu, będącemu rodem z Czerniejewa, ma być żelazny na podstawie kamiennéj.

Kuryjer warszawski donosi, że dnia 26go września dawano w Radomiu *Normę* Beliniego. Nie jestże to postęp cywilizacyi!

Krytografija. Pan Vesin, profesor szkoły centralnéj handlu i stanu przemysłowego, jest autorem wydanego niedawno w Brukseli i królowi belgijskiemu poświęconego dzieła: *O nowo-wynalezionéj Krytografii*, czyli sztuce czytania i tłumaczenia wszelkich gatunków charakterów (znaków piśmiennych), choćby takowe jakiémikolwiek głoskami i w jakimkolwiek języku pisane były, i choć czytelnik ani głosek ani języka nie umié. Profesor Vesin wykładał praktycznie w Frankforcie, gdzie obecnie przebywa, w obec małego zgromadzenia słuchaczy, piérwszą część swojéj sztuki wyczytywania głosek, które dowolnie podług fantazyi tworzono. Jeden z obecnych powymyślał szczególniejsze charaktery i napisał niémi piosnkę, pan Vesin po upływie minut kilku przeczytał całą piosnkę i wytknął nawet miejsca, w których pisarz omyłki w znakach porobił. Inny oznaczył całkiem dowolnie głoski abecadła liczbami i cały frazes niémi napisał. Pan Vesin wyczytał je podobnież po kilku minutach, i wskazał znowu, gdzie się pisarz w liczbie pomylił. Wynalazek ten jest nadzwyczajny; atoli to, o czém pan Vesin zapewnia, przechodzi nawet wszelkie prawdo-podobieństwo, utrzymuje on bo..iem, iż może nauczyć sposobu tłumaczenia po francuz.., po niemiecku, po angielsku, po łacinie, po włosku, po flamandzku, z języka, który całkiem jest nieznany i z pisma, które całkiem nieznanym charakterem jest napisane. Pan Vesin zamyśla w Frankforcie na publiczném zgromadzeniu dać bezpłatnie próbę swéj tajemniczéj sztuki i metodę swoję objawić.

Szkoła mechaniczna dla kolei żelaznych. W Mechlinie otwiérają osobną szkołę, w któréj zakładacze wszelkiego rodzaju kolei żelaznych kształcić się będą. Z tych ludzi w przeciągu lat dziesięciu powstanie całkiem nowa klasa mechaników, którzy li tylko zakładaniem kolei żelaznych trudnić się będą, a za lat pięćdziesiąt można być pewnym, że już będzie pięć fakultetów, to jest: Teologija, filozofija, medycyna, prawo i—fakultet parowy. Może nawet ten ostatni nad wszystkiémi innémi piérwszeństwo otrzyma.

Rossyjscy kompozytorowie. Z kompozytorów rossyjskich, najcelniejszym jest Glinka, który napisał piérwszą operę rossyjską, pod tytułem: »*Poświęcenie życia za cara*«; po nim idzie Stroiński, który piękną operę: *Paraszar* i symfoniję na Napoleona, tudzież hrabia Folstog, który piękną *Romancę* skomponował. — Najcelniejsi wirtuozowie są hrabia Wielohurski na basie, Mouskow na fortepijanie, Dmeriew na skrzypcach; w śpiewie zaś damy: Ozerowa i Petrowa, tudzież pp. Bałabin, Wołków i Samojłów.

Osobliwość pomologiczna. Bracia Mohnhaupt w Wrocławiu, zbiérali w tym roku z jednéj pod gołem niebem rosnącéj gruszki owoc dwa razy.

Muszla olbrzymia. W Hadze wykopano niedawno z ziemi muszlę olbrzymią, która ma 79 calów długości, 67 szérokości, 9 grubości, a 141 funtów waży. Rzadką tę osobliwość natury wystawił właściciel na widok publiczny.

Spotrzebowanie gazu w Londynie. Londyn potrzebuje corocznie na oświetlenie 240 milijonów stóp kubicznych gazu. Światło, które na ten sposób się uzyskuje, wynosi tyle, co światło z stu sześćdziesięciu milijonów funtów świéc.

Ruch. Zwyczajny zégar ma 17,160 razy szczęknąć na jednę godzinę. To wynosi codziennie 411,840, a rocznie 150,424,560 uderzeń, licząc w roku 365 dni i 6 godzin. Przy troskliwém obchodzeniu idzie zégar niekiedy sto lat ciągiem, w takim razie szczęknie 15,042,456,000 razy. Zégar zrobiony jest z twardego metalu; atoli jest także jedno sławne narzędzie, które bynajmniéj nie jest tak twarde jak mosiądz i stal, a nawet nietwardsze niż ciało kamienia, a przecież narzędzie to uderza 5,000 razy w godzinie, 120,000 razy w jednym dniu a 43,830,000 razy w jednym roku. Zdarza się czasem, że to narzędzie sto lat wytrzyma, w takim razie uderza 4,383,600,000 razy. Rozumiałby kto, że narzędzie to będąc tak miękkiém, prędzéj niż zégar się z-użyje; jednakże rzecz się ma inaczéj. Każdy człowiek ma to narzędzie, każdy może czuć jego uderzenia, gdyż tém narzędziem jest —serce.

Połów psów morskich. Wiadomości nadesłane od inspektoratów Grenlandyi południowéj pod względem połowu psów morskich w roku upłynionym, opiewają bardzo pomyślnie. W niewody złowiono ich 4736. Przeciwnie zaś z wielorybów żadnego nie złowiono. Zbiór puchu był nieznaczny. Grenlandczyki utrzymują, że gęsi w południowym inspektoracie coraz bardziéj rzadnieją.—Tego roku w miesiącu kwietniu było także 5200 beczek tłuszczu, 10500 skór reniferowych, 10500 skór psów morskich, 1800 skór lisich, a 1100 funtów puchu w zapasie.

Wykładacze hieroglifów. Otrzymałem właśnie, pisze jeden z literatów, od pana Camillo Duteil słownik hieroglificzny. Jestto rozsądnie i w skromnym stylu ułożona ksiąžka, napisana podobno nie w zamiarze

obeznania nas z hieroglifami, ale raczéj aby nas przekonać, że pan Champolion, który drugim hieroglify wykłada, sam ich wcale nie rozumie. Być może, że pan Champollion przygotowuje podobnąż książkę dla udowodnienia tegoż samego o panu Duteil zdania. My ignoranci, przymuszeni jesteśmy odwoływać się do uczonych nawet pod względem zdania, jakie oni jeden o drugim dają. Z tém wszystkiém na poparcie twierdzenia pana Duteil o panu Champollionie, przytoczę tu maleńką anegdotę. — Byłoto w czasie, gdy się pan Denon wielkim zapasem egipskich starożytności zajmował; otrzymywał on częstokroć całe ładunki mumij i papyrusu z Egiptu. Utalentowany młodzieniec i zdatny malarz, nazwiskiem Machereau, miał zlecenie kopijowania hieroglifów, do rozumienia których najmniejszego sobie prawa nie rościł. Jednego dnia z-rana pan Denon przywoławszy go do siebie, rzekł: »Kochany panie Machereau, oto masz robotę, którą do wieczora przekopijować trzeba; pan Champollion będzie jutro u mnie na obiedzie, chciałbym go więc na wety uraczyć hieroglifami, które świéżo z Egiptu nadeszły. Oryginał jest nieco zabrukany, podarty i stary, przekopijuj go wpan starannie i na czysto.« — Machereau idzie do swego pokoju, siada, ale zaledwie że się zabrał do pracy, niespodzianie trąca o kałamarz, i oblewa atramentem cały zwitek papyrusowy. Co tu robić? Myje, suszy, skrobie — niepodobna ani wywabić atramentu, ani téż odkryć aby jednej z figur, które miał przekopijować. Nie będę się rozwodził nad jego zmartwieniem. Przepadł papyrus, rzecze sam do siebie; gdyby to nieszczęście przynajmniéj po przekopijowaniu figur było się stało, pan Denon byłby mi może przebaczył! Myśl ta nasuwa mu drugą. Do stu katów, rzekł sam do siebie, od czasu jak te przeklęte figury kopijuję, nie widzę bynajmniéj, w czémby od siebie się różniły, zawsze taż sama figura Ibisów, osłów, byków, ludzi, psich głów i t. p. Nie pojmuję, jak można w tém taką wartość pokładać; ale jestem pewien, że pan Denon wypędzi mnie z swego domu, skoro się o tym przypadku dowié. Zadumał się na chwilę, nareszcie wpada na rozpaczliwy zamysł. Wszystko jedno, pomyślił sobie, wymaluję mu ze dwadzieścia krokodylów, ibisów, byków, zgoła wszelkie figury, jakie zwykle kopijuję, być może, że pan Champollion nie przyjdzie, a w ostatnim przypadku utrzymywać będę, że moja kopija jest wierną, i że w niéj nie masz żadnego błędu, chociaż autor jasnym i dokładnym stylem nie pisze. — Jak zamyślił, tak uczynił, namalował mnóstwo ibisów, oślic, waz i t. p. Pan Champollion przybywa, Denon zaprasza malarza Machereau na obiad. Ten wymawia się, ale Denon nie przyjmuje wymówki, a tak Machereau rad nierad przychodzi do stołu. Na nieszczęście malarza obiad kończy się bardzo prędko. Nakoniec, każe mu Denon przynieść swoję robotę. Machereau udaje, że nie słyszy — dobrze choć jedna chwilka, ale i ta przemija; Machereau wstaje i odchodzi. Kilkakrotnie, mówi tenże, zbierała mnie chętka umknąć i już ani nogą nie postać w domu pana Denona. Jednakże wraca nareszcie to blady, to czerwony na twarzy. Podaje robotę panu Denonowi, a ten ją panu Champollionowi wręcza; przemija chwilka, ale to chwilka tylko, a po niéj czeka nieszczęśliwego kara przekupniów w świątyni jerozolimskiéj! — Ale co za dziwo! Pan Champollion bierze mniemane hieroglify, rozpoznaje i wykłada w okamgnieniu sens tam — gdzie żadnego sensu nie było!

Ścisła znajomość. Humboldt opowiadał w Paryżu zabawny wypadek o ludo-żercach amerykańskich. W podróży swéj po Ameryce, zwidził on jakąś pustynię. Jednego dnia siedząc obok olbrzymiego Indyjanina, który niedawno przeszedł na katolicką wiarę, zapytał go: »Znałżeś ty imć księdza biskupa w Kwebeku?« — »Czy go znałem?« odrzekł zapytany, »wszak ja go razem z moimi towarzyszami jadłem!« *(Arago.)*

Ciemna i głucho-niema dziewczyna. Na ostatniem posiedzeniu angielskich badaczów natury w Plymouth, Doktor Fowler zdawał sprawę o młodej dziewczynie, która zostając obecnie w domu zarobkowym w Rotherhithe, w trojakim względzie jest ułomna, mianowicie jest głucha, niema i ciemna. Nieszczęśliwa dziewczyna ta mająca teraz około lat dwadzieścia, urodziła się głucho-niemą, a we trzy lata późniéj dostawszy ospy, ociemniała. Nie słyszy ona nawet najdonośniejszego głosu, jednakże zrywa się, gdy kto uderzy młotkiem o żelazny talerz, który na sznurku nad nią wisi. Czucie jest jedynym zmysłem, za pomocą którego drudzy ludzie jaką rzecz jéj oznajmić mogą, i którego ona dla obeznania się z przedmiotami i osobami używa. Nie zbywa jéj wprawdzie na smaku i węchu, ale żadnéj świadomości o tém mieć się nie zdaje. Jeszcze przed dwoma lub trzema laty prowadziła zupełnie zwierzęcy sposób życia, ale późniéj zaszła w postępowaniu jéj znaczna odmiana i już teraz o ubiór i przyzwoitość tak jest troskliwa, jak każda w jéj wieku dziewczyna. Trafia ona bez przewodnika do każdego kąta w zarobkowym domu, dotykaniem się rękami rozpoznaje wszystkich jego mieszkańców, sama ściele sobie łóżko i szyje nietylko rzeczy zwyczajne, ale nawet trudniejsze części swego ubioru. Chciwie chowa wszystko, co mniema być swoją własnością; gdy jéj kto da szyling, nie posiada się z radości, śmieje się, kiwa głową, i długo palcami go maca.

W Szumawie, czeskim lesie, w téj osławionéj okolicy przepytało się dwóch Anglików do zajezdnego domu, gdzie gospodarz grubijaństwem swojém mocno im imponował. Ci roznieśli wkrótce jego sławę po swéj ojczyźnie; jakoż niedługo trwało, a mnóstwo Anglików zaczęło rojem zajeżdżać do jego domu. Gospodarz nie wiedział komu winien to nadzwyczajne szczęście, a obcując z wielą ludźmi i widząc, że gospodarstwo idzie coraz pomyślniéj, stał się z czasem grzeczniejszym dla swoich gości. Ale cóż z tąd wynikło? Oto Anglicy przestali uczęszczać do jego domu. Gospodarz dowiedziawszy się o przyczynie, kazał ogłosić następujące uwiadomienie: »Oznajmiam niniejszém wszystkim panom Anglikom, że gościnny dom mój stoi jeszcze na témże samem miejscu co i dawniéj, a ja gospodarz przyrzekam, że będę się z nimi obchodził bardzo po grubijańsku, i jeszcze bardziéj niż przedtém! Upraszam więc o częste odwidziny.«

Jednego Irlandczyka, który sprzedawał wierzchowca, zapytano: »Czy jego koń nie jest lękliwy?« — »Bynajmniéj« odrzekł zapytany, »wszak on sam jeden w stajni stoi.«

Sprostowanie:

W Nrze. 41. Rozmaitości, w artykule: *Literatura sławiańska*, na str. 327 w doniesieniu o dziele: *Wiadomość o mityzmie sławiańskim* i t. p., sprostować należy, że takowe starożytną prusko-litewską mitologiję nie zaś literaturę obejmie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.